

Lubili, gdy w domu panował porządek. Każda linia kurzu na regale i półkach, zarówno widoczna jak i zatajona przed ludzkim okiem, miała zniknąć nie później niż godzinę od pojawienia się. Książki i szkolne zeszyty powinny, ułożone w schludny stosik, zajmować nie więcej niż dwa pola wielkości A5 w kącie biurka by nie blokować przeznaczonej na naukę przestrzeni. Ponad to podłogi myte na kolanach by dostrzeć każdą nieczystość, dywany szorowane szczotką, ascetyczne ściany bez obrazów, plakatów i zdjęć, minimalistyczne wyposażenie każdego pomieszczenia, starannie poskładany i posegregowany dobytek – razem tworzyły sterylny wizerunek porządnego, wystawnego lokum gotowego w każdej chwili godnie reprezentować naszą rodzinę przed każdym przybyłym gościem.

Naturalnie czystość domu nie błyszczała by harmonijnie na tle zaniedbanych mieszkańców. Każdego dnia znajdowaliśmy więc czas na pastowanie butów, prasowanie koszul i dokładną higienę osobistą. W naszym domu łazienka praktycznie nie pozostawała nieokupowana. Zawsze ktoś albo się stroił, albo mył, albo zwyczajnie wpatrywał w lustro szukając we własnym odbiciu niedoskonałości należnych do natychmiastowego usunięcia. W efekcie by dostać się do środka na siku należało wcześniej powiadomić domowników i najlepiej zaklepać kolejkę.

Sprzątanie, doskonalenie i upiększanie rzeczywistości dookoła zajmowało nam zatem większość wolnego czasu. Za jego poświęcenie odpłacał się dom – nowoczesny, wielki, przykładowy. Odpłacał się także zazdrością spijaną z oczu zerkających ku niemu sąsiadów.

W dniu czternastych urodzin obudziły mnie jaskrawe promienie słońca zaglądające do sypialni przez uchylone okno. Ledwo otworzywszy oczy zrzuciłam z siebie kołdrę i z pełnym zachwytem uśmiechem na ustach wyskoczyłam z łóżka. To był *ten* dzień.

Świergocząc pod nosem razem z ptactwem zza okna powędrowałam do łazienki i poddałam się rutynowym porannym zabiegom pielęgnacyjnym by godzinę później wrócić do sypialni, położyć łóżko i założyć naszykowany uprzedniego wieczora strój.

Ze zdziwieniem odkryłam, że złożone przeze mnie spodnie i podkoszulek razem z bielizną zastąpiło pudełko. Pod jego wiekiem kryła się sukienka w stonowanych odcieniach błękitu oraz dołączony do niej bilecik.

Na wyjątkowy dzień – Mama.

P.S. W niej będzie Ci lepiej.

Założyłam kreację dodając do niej białe rajstopy i jasne baleriny, które dwukrotnie przetarłam przy okazji z kurzu. Wyjątkowo dużo energii włożyłam także w układanie i czesanie włosów – zwykle przysiadłam

do tego zajęcia ze szczególnie kwaśną miną, lecz wiedziałam, że tamtego dnia nic nie będzie w stanie zepsuć mi humoru. Zebrałam je w wysoki kok i dopilnowałam, by przy twarzy nie plątał się żaden niechciany kosmyk. Całość utrwaliłam lakierem i wsuwkami.

Opuszczając sypialnię zerknęłam przez ramię i jeszcze raz omotałam pokój krytycznym spojrzeniem. Dopiero upewniwszy się, że zostawiam małe królestwo w idealnym stanie ruszyłam po schodach w dół krokiem pełnym wdzięku, choć energia rozpierająca mnie od przebudzenia stawała się coraz trudniejsza do zduszenia.

Rozmowę rodziców dosłyszałam już ze schodów. Zachęcona ich pogodnymi głosami stanęłam w progu kuchni i dygnęłam posyłając w ich stronę promienny uśmiech. Tata uniósł wzrok zza gazety. Na mój widok odłożył ją na stół i wezwał mnie do siebie gestem dłoni.

– Dzień dobry, kaczorcu – powiedział klepiąc mnie po odsłoniętym przedramieniu i lustrując wzrokiem od stóp do głów. – Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję tato.

– Pewnie nie możesz się doczekać prezentu? – tata uniósł brwi. Przytaknęłam niemo. – Gdzieżby nie. Niech tylko nie wybija ci z głowy hiszpańskiego, a jutro jeszcze basenu i pianina. Na pewno pokazywałaś mi wszystkie odrobione lekcje?

– Pewnie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Śniadanie gotowe, koniec rozmów – wtrąciła mama odwracając się od kuchenki. Przełożyła na talerz porcję jajecznicy ze szczypiorem i dołożyła do niej kanapkę z kiełkami. – Siadaj. Ale najpierw pokaż ręce.

Posłusznie pokazałam dłonie pozwalając obejrzeć je mamie z każdej strony.

– Dobrze – szepnęła do siebie poprawiając kołnierzyk mojej sukienki. – Wspaniała, prawda? – mama złapała się pod boki oglądając mnie dalej jak krytyk sztuki statwę w muzeum. – Ten krój ci pasuje, kształt litery A i ta długość wydłużają nogi. Kolor też trochę jakby rozjaśnia ci cerę. Dobrze ci w niebieskim. Ale dość, siadaj.

Jadłam posiłek z rosnącym podekscytowaniem. Z trudem utrzymywałam rozhulane nogi na podłodze, galopujące z ekscytacji serce samo podawało im odpowiedni, pobudzony rytm.

– Skończyłam – oznajmiłam po chwili. Od razu zmyłam naczynia i wytarłam ręce.

– W porządku – powiedziała spokojnie mama. – Zaraz wracam.

Nareszcie! - rozbrzmiało triumfalnie w mojej głowie. Wyimaginowane fanfary wzniosły swą zwycięską pieśń do nieba, a wtórowały jej słodkie popiskiwanie. Na palcach czułam niemal miękkie włosy, drobne wiążące się łapki i liżący je szorstki język. Nadal nie zdecydowałam się ostatecznie na imię – Sonia, Fifi; oba

miały silną kandydaturę – ale byłam pewna że błyskawicznie podejmę decyzję gdy ujrzę już mój urodzinowy prezent.

Mama ponownie wkroczyła do kuchni trzymając w rękach różowe pudło. Przycisnęłam dłonie do ust uśmiechając się szaleńczo, pozwoliłam sercu gnać dokąd tylko chciało.

Gdy mama zbliżyła się dostatecznie zauważyłam, że wieko pudła jest szczelnie zamknięte, nie ma żadnych dziur i, co gorsza, wcale się nie porusza. Zatroskana wyciągnęłam dłonie pragnąc czym prędzej uwolnić zwierzę z potrzasku. Bałam się, że Sonia lub Fifi zaraz się udusi jeśli nikt jej stamtąd nie wyciągnie więc od razu opadłam na podłogę i podniosłam pokrywkę.

Rozczarowanie natychmiast dosięgło moich policzków oblewając je obfitym rumieńcem. Pudło, domniemane mieszkanie zwierzęcia, wypełniono po brzegi plastikowymi, kolorowymi opakowaniami o różnych geometrycznych kształtach. Zanurzyłam w nie dłonie i przemieszałam kilkakrotnie poszukując jakiegokolwiek poszlaki psiej obecności, a potem znieruchomiałam z pustym wzrokiem wbitym w podłogę.

Tymczasem mama kucnęła tuż obok i palcem uniosła mój podbródek. Oczy miała zadowolone a usta przekonująco uśmiechnięte.

– Pamiętasz jak jeszcze niedawno mówiłam, że pozwolę ci zacząć się malować kiedy będziesz starsza? – czarujący uśmiech mamy wpłynął na jej oczy rozświetlając je ekscytacją. – Pomyślałam, że czternaste urodziny to dobry moment, skarbie. Wszystkiego najlepszego.

Obojętna na pocałunek mamy wstałam z klęczek.

– Ale... – zaczęłam nieśmiało zbierając się w duchu na odwagę. – Ale ja myślałam...

– Myślałaś – co? – wtrącił tata znad gazety.

Przez chwilę gryzłam w milczeniu dolną wargę zastanawiając się, co powiedzieć.

– Ostatnio rozmawialiśmy o moich urodzinach i powiedzieliście, że dostanę coś o czym od zawsze marzyłam.

– A to nie marzyłaś właśnie o tym? – zapytała zdziwiona mama, na którą wolałam na razie nie spojądać.

– Niby też, ale...

Ale wszystko wskazywało na to, że to piesek – dokończyłam w myślach oficjalnie spuszczać nos na kwintę. Dawno obmyślałam już każdy szczegół. Teraz nawet w ułamku sekundy wybrałam imię Fifi, było bardziej światowe. Fifi miała mieć prawdziwe włosie, żeby pasowało do naszego domu i nie zostawiało brudu, miała być jorkiem lub sznaucerem miniaturką, ewentualnie małym pudlem, rasowym, tresowanym i karmionym cielęcina. Moja wyobraźnia przygotowała jej także miły kącik w pokoju, wygodne aksamitne posłanie z wieloma poduszkami.

Odtworzenie psych wizji dodało mi odwagi. Podniosłam wzrok ukradkiem kontrolując coraz to chłodniejsze spojrzenia rodziców i dodałam:

– Nie powiedzieliście „nie” kiedy ostatnio pytałam.

Błyskawicznie opadające z serdeczności oczy opiekunów skutecznie wydarły resztkę pewności siebie z serca. Nie znalazłam w nich ani krzty poparcia. Mimowolnie skuliłam ramiona oczekując na burę.

Mama pierwsza zareagowała na moje spostrzeżenie. Dwukrotnie westchnęła głęboko zanim cokolwiek powiedziała, co w jej wydaniu nie oznaczało niczego przychylnego.

– I nie powiedzieliśmy też „tak”. Wiem że dla dziecka odpowiedź „może” jest już prawie jak obietnica, ale niestety dorosłość tak nie wygląda. Jesteś na tyle duża, żeby zacząć to rozumieć.

Wyczuwając ponownie słaby ogień nadziei postanowiłam podjąć rozmowę.

– Zadbałabym o Fifi – zapewniłam gorliwie. – Może też mieszkać na dworze jak podrośnię, wtedy mogłabym wychodzić z nią na dłuższe spacerunki tylko raz dziennie po szkole.

– Nie – nacisnął niespodziewanie tata i wstał, definitywnie ucinając w ten sposób psią dyskusję. Zmierzył mnie wzrokiem z głęboką dezaprobatą i wykrzywił surowo usta. – Nie, Ado. Powinnaś podziękować za prezent i pamiętać, że wiemy, co jest dla ciebie najlepsze, droga panno.

Automatycznie opuściłam spojrzenie na nową, błękitną sukienkę z kołnierzykiem. Jej mdły kolor przypawił mnie o zawroty głowy.

– To może... – zaczęłam smętnie, usiłując wydobyć z siebie choć trochę ikry. – To może chociaż desko-rolka?

Nikt nie odpowiedział na pytanie.

Zajęcia w szkole nie zdołały przepędzić chmur wiszących tuż nad moją głową. Nie czułam się dobrze w nowej sukience więc postanowiłam zostać w stroju do ćwiczeń po wuefie i tak spędziłam w nim resztę zajęć, razem z dodatkowymi lekcjami hiszpańskiego. Dzień toczył się spowolnionym rytmem, godziny mijały bezpowrotnie oblepione pustką i bezsensownymi rozmyślaniami. Duchem pozostawałam w domu, w kuchni, bezradna i dziwnie obnażona ze swoich pragnień. Fifi zginęła gdzieś pośród smętnych wspomnień porannej rozmowy.

Nim usłyszałam ostatnie tego dnia „gracias” słońce na dobre zniknęło za horyzontem. Wiedziałam, że z powodu natłoku obowiązków w pracy musiałabym czekać na transport do domu dobre pół godziny, więc zdecydowałam wrócić do domu piechotą, jednocześnie zręcznie uciekając przed przedwczesną konfrontacją z rodzicami. Ruszyłam więc wzdłuż głównej ulicy i zdążyłam przejść dobry kilometr nim uzmysłowiłam sobie nagle, że nadal mam na sobie strój do ćwiczeń.

Potencjalne tłumaczenia spowodowane tą zmianą przerastały moje możliwości. Wiedziałam, że narażam się tym samym na nieprzyjemną konfrontację i że muszę coś z tym zrobić. Zatrzymałam się i nie zważając na napierających prosto na mnie przechodniów rozejrzałam się dookoła analizując swoje położenie.

Jak się okazało, od najbliższej galerii handlowej z publiczną toaletą oddzielało mnie dobrych dziesięć przystanków autobusem. Wycieczka w jej stronę była zatem ryzykowna – moje spóźnienie również mogło wywołać lawinę podejrzeń, co z kolei ponownie prowadziło do gęstych tłumaczeń. Nie mogłam pozwolić sobie na utratę cennych minut. Jednocześnie szybko zrozumiałam, że jedynym wyjściem z sytuacji jest znalezienie możliwie ustronnego miejsca tam, gdzie byłam.

Upatrzyłam sobie odizolowany od ulicy wielkim kontenerem na śmieci zagajnik. Schowałam się za wielkim metalowym koszem, ze swetra zawieszzonego między nim a drugim pojemnikiem robiąc prowizoryczną zasłonę. Wyjęłam z plecaka sukienkę i modląc się w duchu by zagniecenia na materiale naprawdę nie był aż tak widoczne jak sądziłam, zsunęłam z bioder luźne spodenki. Zaczęłam ściągać prawą skarpetkę gdy nagle mych uszu dobiegł wysoki pisk.

W pierwszej chwili pomyliłam osobliwy dźwięk z czymś nienaturalnym śmiechem. Natychmiast wciągnęłam spodenki z powrotem na biodra i wstydliwie okryłam gołe łydki rękoma. Z zaciśniętymi zębami oczekiwałam kolejnych chichotów. Napięcie skręcało mi wszystkie kiszki.

– Wynocha! – syknęłam drapieżnym pół-głosem. – Nigdy gołej nogi nie widzieliście?

Dyszałam ciężko, trochę ze złości a trochę z narastającego skrępowania, trwając w całkowitym bezruchu. Nikt jednak nie odpowiadał.

Stopniowo zaczęłam rozluźniać kolejne mięśnie aż w końcu stanęłam zupełnie wyprostowana, choć wciąż lękliwie nasłuchująca odgłosów dobiegających zewsząd. Nie miałam odwagi zdjąć osłaniającego mnie swetra.

– Ktoś... Ktoś tam jest? – zapytałam próbując panować nad drżeniem strun głosowych. Jedynym co słyszałam był wciąż szum pobliskiej ulicy połączony z gwarem miasta i urywanych rozmów przechodniów.

Zaczęłam wierzyć, że mój mózg postanowił spleść mi psikusa, lecz w tamtym momencie pisk powtórzył się rozwiewając wątpliwości co do swojego rzeczywistego istnienia. Tym razem nie spanikowałam – rozpoznałam w nim bowiem coś więcej, niż nieprawdziwy drwiący śmiech. Ktoś cicho płakał.

Kierowana bardziej instynktem niż rozumem wspięłam się po kontenerze i zajrzałam do środka. Oduurzający zapach bezlitośnie śmierdzących odpadów nieomal nie powalił mnie na glebę. Wśród plastikowych opakowań, rozkładających się resztek jedzenia i niezliczonych kartonów po chińszczyźnie leżał porzucony karton. W kartonie natomiast, trzęsąc się i drapiąc jego ściany, skomlała mała istotka.

Widok ten uderzył mnie tak ogromnie, że momentalnie opuściłam się w dół i struchlałam otwierając oczy

na szerokość podobną do szerokości zdobionych deserowych talerzy. Ledwo oddychałam, kończyny odmówiły posłuszeństwa – najpierw zastygając w kompletnej katatonii, a potem, wbrew wszystkiemu, ruszając naprzód dziarskim krokiem. Zostawiłam za sobą i sweter, który przy okazji mojego wyjścia z kryjówki spadł prosto na błotnistą sadzawkę przy kontenerach, i plecak i sukienkę, nie dbałam o żaden z tych przedmiotów, nogi po prostu *musiały* natychmiast zacząć pracować. Widocznie potrzebowałam tego przedziwnego mechanizmu by wyrwać się z transu i po chwili zawrócić w to samo miejsce.

Porwałam sweter z ziemi, zawiesiłam go znowu między pojemnikami i jeszcze raz wdrapałam się po ścianie kontenera. Kuląca ogon istotka wciąż w nim tkwiła, uwięziona, samotna, i z pewnością bardzo, bardzo głodna.

Ponownie opadłam na podłoże, tym razem kontrolowanie. Złapałam się za włosy skutecznie dewastując porządne uczesanie i syknęłam z szewską pasją pod nosem. Poczulałam się zablokowana w co najmniej tak olbrzymim potrzasku, w jakim tkwiło moje znalezisko.

– I co ja mam teraz zrobić? – zawołałam sama do siebie. – Co ja mam zrobić?

Doskonale zdające sobie sprawę z mojej obecności zwierzę jakby próbując podjąć ze mną skutecznie dialog zapiszczało głośno. Zirytowana rozłożyłam ręce zwracając się do niego przodem, zupełnie ignorując fakt istnienia oddzielającej nas od siebie masywnej ściany kontenera.

– Nie mogę – powiedziałam płaczliwym, łamiącym się tonem. – Zrozum, nie mogę. Nie mogę tego zrobić. Jeśli zabiorę cię ze sobą to...

Urwałam nagle i mimowolnie ściągnęłam łopatki. Moja twarz przybrała nieobecny, zamyślony wyraz.

Dlaczego właściwie nie mogę? – zapytałam siebie poważnie. – *Co się stanie, jeśli cię tutaj zostawię?*

Zginę! – odpowiedział piskliwy głosik w mojej głowie. – *Nie przetrwam tutaj nawet tygodnia!*

No tak, to jasne – kontynuowałam – *Ale: dlaczego nie mogę wziąć cię ze sobą? Co się stanie, jeśli cię stąd zabiorę?*

Odpowiedź nagle pojaśniała niczym jaskrawy granat oślepiający. Nie miałam już żadnych wątpliwości co do tego, jak powinnam postąpić.

Kolejny raz tego nieszczęsnego dnia wdrapałam się po kontenerze i przewieszając się na nim w pół spróbowałam sięgnąć ręką do kartonu. Moje palce ledwo dosięgły jego szorstkiej faktury, lecz zawzięcie oparłam rękę na lepkich resztkach po chińszczyźnie i zyskując tym samym kilka dodatkowych milimetrów zasięgu chwyciłam brzeg pudła i przyciągnęłam je do siebie. Zaskoczona przejażdżką mała istotka zaskomlała strachliwie, zakołysała się na łapkach i upadła na boczek. Nim zdążyła zaprotestować już została wyciągnięta ze śmietnika i bezpiecznie zamknięta w moich ramionach. Pierwszy raz przyjrzałam się jej bliżej.

Po pierwsze, był to psiak zupełnie nijakiej urody. Ani rasowy, ani wystawowy, ani o lśniącym włosie. Nie miał interesujących ciapków, a pod oczyma zalegały mu brązowe grudy, których pochodzenia nie byłam w stanie wyjaśnić. Mordkę miał raczej dłuższą, uszy klapnięte, a oczy brązowe i duże, uciekające od moich w zdezorientowaniu. Na białym, wypłowiałym futrze lepiły się resztki jedzenia, jakie zapewne zdołał chwycić pyszczkiem będąc w kontenerze i przerzucić do kartonu. Daleko mu było do schludności. Brzuch, choć nie straszący wystającymi żebrami, był wyraźnie bardziej wklęsły niż powinien. Okropnie cuchnął starymi, spoconymi skarpetami, zepsutym, skwaśniałym mlekiem i brudem. Często zwykłam przeglądać psie materiały na internecie i dzięki temu rozpoznałam, że nie mógł mieć więcej niż pięć tygodni.

Gdy tak stałam obserwując osowiałe zwierzątko szczeniak uniósł łepkę i spojrzał mi niespodziewanie prosto w oczy. Wyciągnął szyję i popatrzył na mnie tak przejmująco i rozumnie jak gdyby całkowicie zdawał sobie sprawę z tragiczności swojego położenia. Wyciągnął języczek i zdołał polizać mnie po brodzie, zupełnie jakby to on chciał pokrzepić mnie.

Moje serce nagle podskoczyło i urosło, dosłownie pęczniejąc z miłości. Mocno przytuliłam do siebie psinę, a ta jak na komendę przestała trząść małym ciałkiem, pisnęła przyjaźnie i zaatakowała mój policzek psimi pocałunkami.

Roześmiana odsunęłam się nieco opuszczając strefę zasięgu pocieszonego psiaka i spojrzałam na niego raz jeszcze. Tym razem nie zauważyłam brudnych lepkich plam na jego futrze, braku rodowodu, nie zwróciłam większej uwagi na ciągnący się za nim smród. Nie był żadną ani Fifi, ani Sonią, a mimo to był najwspanialszym stworzeniem na świecie. Stworzeniem, którego nie mogłam zostawić na pastwę losu za żadne skarby.

Wracałam do domu biegiem tuląc w ramionach bezdomnego pieska. Maluch nie wiercił się, nie protestował, pozwalając zanieść się dokąd mu wyznaczę. Trucht szybko wymęczył nogi i oddech toteż opadła z sił zwolniłam kilkadziesiąt metrów przed domem zyskując tym samym trochę czasu do namysłu. Rozmaite przeszkody które uczucie do zwierzęcia zepchnęło w kąt teraz dały o sobie znać.

Dom rysował się już na horyzoncie, a ja nadal nie miałam zielonego pojęcia, jak to właściwie odpowiednio rozegrać. Jednocześnie nie dopuszczałam innej możliwości niż ta, by przemycić szczenię do środka. Wierzyłam, że po przemknięciu do pokoju na górze sprawa dalej jakoś popędzi naprzód sama rozwiązując problematyczne kwestie i że to włamanie do własnej sypialni będzie najtrudniejszą częścią operacji. Nieostroźnie opierałam jej powodzenie na łucie szczęścia.

Okrywając zwierzę swetrem stanęłam przed domem i nasłuchiwałam. Obiecująco zgaszone światła popchnęły mnie do działania. Serce waliło mi w piersi jak młot gdy nieudolnie próbowałam wsunąć klucz do zamka.

Nie patrząc na nic natychmiast wbiegłam na schody i popędziłam do sypialni. Dopiero trzask zamyka-

nych drzwi ofiarował mi tę odrobinę komfortu i nadziei, że przynajmniej tego wieczoru wybryk umknie mi płazem.

Biorąc głębszy oddech pierwszy raz od kilkunastu minut kucnęłam i wypuściłam psa z rąk. Malec ochoczo zeskoczył na dywan, obwąchał go po czym podreptał śmiało naprzód zostawiając za sobą idealnie koślawy ślad drobnych czarnych łapek.

– Nie! – pisnęłam rzucając się w stronę psiaka. Przestraszone zwierze przyspieszyło i niezdarnym biegiem dotarło aż do przeciwnej ściany nim zdążyłam pochwycić je w objęcia. – Zły piesek!

Zrozpaczona zerknęłam na kręte czarne ślady wrzeszczące brudem z białego dywanu i momentalnie poczułam, jak opuszczają mnie wszystkie siły. Ponowne zgarnięcie ich do kupy zabrało na szczęście krótką chwilę, bowiem czym prędzej przystąpiłam do organizowania psu miejsca do spania.

Zdecydowałam, że najlepiej będzie ukryć go w garderobie. Jej drzwi były co prawda cienkie, miały szpary na całej ich długości, ale łazienka, choć osobista, roznosiła zdecydowanie więcej echa podczas gdy zwały ubrań tłumiły większość dźwięków. Nerwowo kontrolując czas co do minuty ze szczeniciem na rękach przekopałam schowek na dole w poszukiwaniu odpowiednio dużego pudełka i ustawiłam je w możliwie najdalszym kącie garderoby dodatkowo otaczając z dwóch stron wysokimi wieżami z ubrań wyciągniętych z górnej półki.

– Teraz musisz tu zostać – przykazałam surowo psu wstając z klęczek. – No nie patrz tak na mnie! Ktoś musi posprzątać ten bajzel. To i tak cud, że nikt jeszcze nie wrócił.

Piesek popatrzył na mnie z głębokim psim rozczarowaniem wypełniającym po brzegi jego okrągłe oczyska i, jakby potwierdzając dezaprobatę, skulił się w kącie odwrócony do świata plecami.

– I dobrze – mruknęłam – obrażaj się, a ja za ten czas uratuję nam skórę.

Stres nie pozwalał mi sprzątać zbyt dokładnie i wracałam do niektórych plam po kilka razy. Kiedy myślałam, że wszystko zostało już wyczyszczone wstawałam z kolan, ocierałam czoło i za każdym razem gdy spoglądałam na dywan z góry dopatrywałam się następnych niedoszorowanych czarnych punktów. Ręce mi opadały, lecz wytrwale powracałam do wściekłych ruchów spienioną szczotką i zaciekle atakowałam włochatą wykładzinę szczotką.

Z biegiem czasu minuty przestały uciekać tak prędko jak wcześniej, a ja dochodziłam powoli do siebie. Dotarło do mnie, że coś pilnego musiało ewidentnie zatrzymać rodziców na mieście bo ich powrót rzadko kiedy przedłużał się dłużej niż o kwadrans. Ostatnie poprawki w drodze ku nieskazitelnej bieli dywanu nanosiłam już ze względnie uspokojonym duchem. Dłużej niezainteresowane mną szczenię zasnęło w garderobie, z której to unosiły się jego pojedyncze senne popiskiwanie.

Los zdecydował ofiarować mi więcej szczęścia, niż byłam śmiała się spodziewać. Okazało się, że tamtego wieczora kompletnie zapomniałam, prawdopodobnie w wirze silnych emocji, o pierwszej lekcji tańca towarzyskiego, jaką rodzice planowali odbyć akurat w czwartkowe popołudnie. Potem, jak dowie-

działam się później, zdecydowali uczcić udany pomysł (oboje byli szalenie zadowoleni z zajęć) spontaniczną kolacją we dwoje o czym poinformowali mnie sms-owo, co zignorowałam zostawiając telefon na dnie szkolnego plecaka. Przez cały ten czas razem ze swymi poczynaniami byłam całkowicie bezpieczna, nawet o tym nie wiedząc.

Wycieńczone przygodami szczenie przespało większość nocy budząc mnie tylko raz, nad ranem, niespokojną gmeraniną dochodzącą z wnętrza garderoby. Nieprzytomna ledwie otworzyłam jedno oko i zaraz znów opadłam na poduszki. Nic nie było w stanie wyrwać mnie o tej porze z sennego otępienia.

Wraz z nastaniem poranka, o czym obwieścił denerwującymi wysokimi tonami budzik w telefonie, rzeczywistość zaczęła kawałek po kawałku docierać do mojej zaabsorbowanej emocjami głowy. Problemy zaczęły kasać mnie ze wszystkich stron od chwili gdy przerzuciłam nogi z materaca na podłogę.

Po pierwsze, musiałam iść do szkoły, co wiązało się z zostawieniem psa samego. W dwa piątki w miesiącu odwiedzała nas sprzątaczką Lena mająca za zadanie poprawić idealną czystość podłóg w każdym kącie domu, zupełnie jakby rodzice zatrudnili ją głównie po to, by sprowadzić do środka jeszcze jedną osobę mającą obowiązek zachwycić się jego nienaruszonym stanem. Obawiałam się, że jeden z dwóch piątków wypadł właśnie tamtego dnia.

Po drugie, zza drzwi szafy zaczynał wypływać do sypialni przykry zapach brudu i nieczystości. Poprzednim wieczorem i rankiem zamaskowałam go odświeżaczem powietrza, ale nie mogłam psikać nim w nieskończoność. Smród stanowił idealną poszlakę dla Leny, która wiedziona zmysłem węchu, natychmiast odkryłaby psią kryjówkę i wygadała wszystko rodzicom. Nie podejrzewałam ją o bycie człowiekiem idącym na zmywy milczenia – a choćby i była takim typem, nie miałam jak spróbować z nią porozmawiać. Nie był to jedyny powód niepewności jego kryjówki. Mama lub tata mogli w każdej chwili wstąpić na przerwie do domu, skończyć pracę wcześniej lub, co gorsza, zwyczajnie wejść do sypialni w każdej chwili, choć robili to naprawdę rzadko.

Po trzecie, ostateczne i najważniejsze, co dotarło do mnie z prawdziwą zgrozą, pies potrzebował opieki. Bardzo. Należało go wykąpać, wyczesać i, choć rankiem ze zdumieniem stawiałam oczy i karuzeli niepochlebnego zdziwienia nie było końca, nakarmić, bowiem wczorajszego dnia przez moje durne gapiostwo i rozemocjonowanie szczeniak nie włożył nic a nic do pyszczka.

W naszym domu nie było żadnej bezpiecznej piwnicy rodem z hollywoodzkich filmów zdolnej do przetrzymania w niej sekretów przez dłuższy czas gdzie mogłabym schować psiaka choć na tych kilka godzin, podczas gdy jedynym co to zwierze naprawdę miało na świecie, byłam właśnie ja.

Zdecydowana i zmotywowana do działania, chodź z głową puchnącą od uciążliwej gonitwy pomysłów i problemów, sprawnie odhaczyłam wszystkie punkty porannej rutyny by nie wzbudzać podejrzeń i dopiero wtedy zajrzałam do garderoby pierwszy raz od poprzedniego wieczora. To co zastałam w środku mama nazwałaby „armagedonem” lub zwyczajnie „klęską żywiołową”.

Jak można się było łatwo spodziewać, pies znalazł wyjście z niedostatecznie wysokiego pudła i oznaczył

garderobę śladami swojej obecności w każdym możliwym kącie. Kolejno odkrywałam a to złoża psich bobków, a to plamy świeżych i całkiem zwietrzałych siuszków, poszarpane ubrania, rozgryzione buty oraz odrapane drzwi. Wykładzina ustrojona czarnymi śladami psich łapek z daleka przypominała kolonię pracujących mrówek; z bliska też, jakby zmrużyć oczy. Przy takim natężeniu katastrof o zdecydowanie nie fiołkowym odorze nie było nawet co wspominać. Nagle stało się dla mnie jasne, jak szczęśliwie udało się dostosować psu do godzin nocnej ciszy.

Na mój widok obudzony psiak wypluł z pyszczka na wpół przeżuty kłapek i popiskując z rozczulenia wybiegł mi naprzeciw. Przewidując rozszerzającą się na moje nowe spodnie katastrofę w porę pochwyciłam pieska w dłonie i uniosłam na wysokość swojej twarzy tak, by jego tylne łapy nie dotykały jeansów.

Cuchnąca futrzana kulka zaczęła szaleńczo wić się w powietrzu i skomleć z radości. Wystraszona próbowałam szybko opanować dźwięki pozwalając psu polizać się po twarzy i opuszczając go z powrotem na podłogę. Nie znalazłszy w tym ukojenia psiak popiskując doskakiwał do moich ugiętych kolan, więc w akcie desperacji chwyciłam pierwszą lepszą parę nowych tenisówek z wyższej półki i wetknęłam mu je pod nos. Przynęta zadziałała tak, jak powinna, wynikiem czego szczęście rzuciło się wesoło do obgryzania gumowej podeszwy. On demolował moje buty, a ja z każdą chwilą skutecznie rwałam na strzępy niepisane zasady naszego domu.

Nie mając zielonego pojęcia jak uporać się ze stratami w odzieży i obuwiu momentalnie podjęłam jedną z ważniejszych decyzji tego dnia. By uporać się z całym bałaganem po prostu musiałam jakoś wymigać się od zajęć.

Rozważywszy naprędce różne możliwości w ostatecznym rozrachunku wybrałam wagary, tym samym zapewniając psu jako taką pewność, że nikt nagle nie wtargnie do mojego pokoju zaniepokojony udawanym kasłaniem. Zostawiając zwierzę zajęte obgryzaniem butów w garderobie (dopilnowałam by szczelnie zamknąć za sobą drzwi) zbiegłam na dół i zachowując pozory normalności zasiadłam do śniadania.

Pora działała na moją korzyść. Zabiegany tata przegryzł tylko kanapkę z kiełkami po czym w biegu chwycił aktówkę i pognął do samochodu, podczas gdy mama nieustannie sprzątająca po kuchennych przygotowaniach posiłku sama poganiała mnie co chwila tłumacząc się ważnym projektem wymagającym dopilnowania. Na wszystko posłusznie przytakiwałam w ten oto sposób nieco przyspieszając moment, który i dla mnie i psiaka oznaczałby namiastkę bezpieczeństwa. Pośpiech sprawił, że rodzicielka skróciła o połowę wygłoszenie koniecznego w systematycznym odświeżaniu wykładu o tym, jak ważne jest wszechstronne uzdolnienie jakim zostałam łaskawie obdarzona przez los.

Mama wysadziła mnie pod szkołą i odjechała niemalże z piskiem opon. Udałam, że zmierzam w stronę wejścia do budynku, lecz gdy tylko auto zniknęło za zakrętem czym prędzej rzuciłam się w pędzący na zajęcia tłum i brnąc przez niego pod prąd odbiegłam w bok by z językiem na brodzie wypaść wreszcie na chodnik przy głównej ulicy.

W domu czekało mnie bez cienia wątpliwości o wiele więcej pracy niż postawiłby przede mną typowy dzień w szkole.

Na dobry początek wypowiedziałam ostateczną wojnę odrażającym zapachom i brudowi, by dopiero potem pomartwić się o straty materialne. Z poświęceniem szorowałam wykładzinę w garderobie, zebrałam psie odchody i kaszląc przez łzy ścierałam zatęchłe plamy moczu. Kwaśne zapachy stały się w pewnym momencie uciążliwe do granic możliwości, toteż zrobiłam przerwę na porządne wywietrzenie pomieszczenia. Przez cały ten czas piesek apatycznie machał ogonem przyglądając mi się ciekawsko z legowiska w kartonie.

Całe półtorej butli środków czyszczących później, kiedy to intensywna woń chemikaliów zdawała się na dobre przykryć wspomnienie smrodu, zmęczona, choć zadowolona z efektów i przebrana w pogryziony przez psa top wzięłam szczenię na ręce i zaniiosłam do łazienki by tam poddać go gruntownemu oczyszczaniu.

Zajęło to kolejne pół godziny. Kolejny raz karcąc w duchu swoje gapiostwo z braku lepszych narzędzi umyłam psiaka zwykłym ziołowym szamponem (wcześniej skonsultowałam ten ruch z internetem znajdując tam oczekiwane pokrzepienie). Czarne strugi brudu wpływały do odpływu prawdziwym potokiem, dopiero potem stopniowo szarzejąc, aż wreszcie woda na dnie wanny stała się przejrzysta. Piesek zniósł tę konieczność z nietypową dla szczenięcia cierpliwością od czasu do czasu pokornie liżąc wierzch mojej dłoni.

Po wykąpaniu i dokładnym osuszeniu zwierzę nabrało zupełnie innego wyglądu. Nadal zmizerniałe, lecz schludne, odsłoniło dla ludzkiego oka miły widok białej prostej sierści, nieco szorstkiej w dotyku, ozdobionej brązową plamką w okolicy lewego ucha. Opuszki na łapkach zaróżowiły się, lepkie zacieki przy oczach usunięte z należąną delikatnością zniknęły uwydatniając głębię uległych brązowych ślepi.

Niestety, tylko ja wydawałam się pocieszona faktem wizualnej zmiany na lepsze. Psiak, chociaż apatycznie wychylał ogon to w lewo, to w prawo, tuż po kąpieli opadł na puszysty dywanik i ani myślał dźwignąć się na łapkach. Oddychał jakoś dziwnie, ciężko, spojrzenie to wbijając w punkt przed sobą, to zahaczając na moich oczach. Kryła się w nim jakaś prośba.

– Wielkie nieba! – zawołałam przerażona chwytając się za głowę. – Znowu to zrobiłam!

Godziny umykały jedna za drugą, a czas nadejścia Leny zbliżał się nieubłaganie, podobnie jak lekcji pływania i gry na pianinie. Tak jak w przypadku basenu moja jednorazowa nieobecność niekoniecznie wzbudziłyby czyjeś podejrzenia (rodzice zapłacili za cały kurs z góry), tak z pianina nijak nie byłam w stanie zwiać. Do osiemnastej winnam była stawić się punktualnie u nauczycielki w skrzętnie uprasowanej spódniczce i lśniących baletkach.

Zostało pięć godzin.

Naciskając dzwonek denerwowałam się jak przed pierwszym szkolnym występem. Niepewność usiłowała zdominować odwagę i mnie złamać, lecz nie poddałam się i niecierpliwie grzebiąc trampkiem w wyjątkowo opornych na moje działania kafelkach nasłuchiwałam odgłosu kroków z wnętrza domu.

– Pospiesz się – zaklęłam pod nosem przyjaciółkę. Czułam się nieustannie obserwowana z każdej strony, a moje obecne położenie potęgowało uczucie bycia wystawionym na każde ciekawskie spojrzenie. Pies zdezorientowany kolejnym przemieszczeniem wcześniej grzecznie spoczywający w mych ramionach teraz odnalazł w sobie wigor nakazujący mu skubać opadające mu na pyszczek pasma brązowych włosów.

– Auć! – syknęłam próbując skomplikowaną sekwencją ruchów (musiałam przecież jednocześnie utrzymać szczeniaka na rękach) wyswobodzić włosy z potrzasku zwierzęcych szczęk. – Zostaw, auć! Niedobry!

Drzwi wreszcie stanęły otworem. Zajęta uwalnianiem kosmyków nie zwróciłam na to większej uwagi i dopiero głos przyjaciółki sprowadził mnie na ziemię.

– No to ładnie – rzuciła wzdychając. – Brawo, Ado. Po prostu wspaniale.

Wyszczerzyłam niewinnie zęby po czym obrzuciłam przyjaciółkę na wpół serdecznym, na wpół przepraszającym spojrzeniem. Na ten widok przewróciła teatralnie oczami, lecz ostatecznie uśmiechnęła się pogodnie przełamując tym samym surowość rysów twarzy odziedziczonych po matce i wpuściła mnie do środka.

– Gdzie są twoi? – zapytałam rozglądając się nieufnie po kątach.

– Rodzice w pracy, Kevin u dziewczyny – Laura machnęła niedbale ręką. – Na pewno nie wrócą do kolacji.

We trójkę zajęliśmy miejsce na dywanie w pokoju Laury na piętrze. Przyjaciółka pozwoliła mi puścić pieska swobodnie, przedtem głaszcząc go czule i zajmując prowizoryczną zabawą w przeciąganie liny. Dopiero gdy zaczął naprzykrzać się łapaniem ją za pukle złocistych loków wystających spod stylowej czapki zaniechała zabaw i, dalej zerkając na niego łaskawym okiem, rzuciła mu w kąt pokoju gumową piłeczkę, której używała jako modelu do rysunku.

Opowiedziałam jej pokrótce całą historię począwszy od wczorajszego popołudnia aż do teraz. Laura słuchała jej z nieprzeniknioną miną od czasu do czasu potakując niemo.

– Dlatego widzisz... – zaczęłam na nowo po chwili ciszy otaczając dłońmi kubek herbaty. Zdążyła już nieco ostygnąć więc pociągnęłam z naczynia orzeźwiającego łyka. – Jeśli zostawię go tam choćby dzień dłużej na pewno ktoś się dowie.

– A nakarmiłaś go w końcu? – zapytała z surowym błyskiem w oku przyjaciółka, której i tych fragmentów opowieści nie oszczędziłam. Mało jednak brakowało, bym nie splonęła rumieńcem udzielając odpowiedzi.

– No pewnie – bąknęłam. – Wskoczyłam do sklepu i kupiłam mu kurczaka z rożna.

– A czy to coś, co takie małe psy normalnie jedzą?

Popatrzyłyśmy sobie poważnie prosto w oczy.

– Nie wiem – wyznałam wreszcie. – Bynajmniej nie do końca. Ale jestem pewna że nie potrzebuje już mleka, ktoś musiał porzucić go zaraz po odstawieniu od matki bo zgaduję, że umiał zadowolić się resztkami ze śmietnika.

– Co za historia!

– Prawda? Ale to nie koniec. Muszę znaleźć mu jakieś miejsce, bo inaczej na pewno skończy w schronisku.

– Właściwie dlaczego nie tam?

– Żartujesz? – oburzyłam się gwałtownym gestem unosząc dłoń zaciśniętą na uchu kubka. Prawie wyłałam przy tym jego zawartość. – To dla psa więzienie, siedzą tam te biedaki po kilka lat tylko po to, żeby potem i tak umrzeć w samotności. Nie chcę, żeby to go spotkało, już i tak wiele wycierpiał.

– To straszne – szepnęła ogarnięta namiętą trwogą Laura. – Jak tak można porzucić szczeniaczka? Jak dobrze, że go stamtąd zabrałaś!

– Tak, właśnie! Muszę, po prostu muszę znaleźć mu miejsce i to migiem. Lena już pewnie zaczęła sprzątać, więc i tak nie mogę wrócić do siebie. Dlatego pomyślałam o tobie, razem na pewno nam się uda.

– Tak, i... Och – Laura zmarszczyła nagle brwi. – Jak to?

Przez chwilę lustrowałyśmy się wzajemnie, obie ogłupiałyśmy. Żadna nie umiała wznowić rozmowy.

– No, wiesz – odezwałam się w końcu pierwsza. – Masz duży dom, większy od mojego, piwnicę. To byłaby dobra kryjówka, przynajmniej na jakiś czas.

– W mojej piwnicy? – upewniła się piskliwym tonem Laura.

– Tak, to chyba oczywiste – popatrzyłam na nią spokojnie. – Gdzieś musi mieszkać.

– No nie wiem...

– Mam już plan, nie martw się – przekonywałam nagle ogarnięta nową energią, jaką obdarowała mnie wiara w powodzenie operacji. – Weźmiemy jakieś stare koce, skombinujemy coś, co zastąpiłoby kojec, dałabym mu swoje stare zabawki. Karmiłybyśmy go na zmiany, wyprowadzały też. Jeśli zostawisz uchylone okno to mogę zakradać się tam codziennie rano i wieczorem, tobie zostałyby tylko popołudnia, myślę, że to wystarczy.

Rozpędzona jak pociąg w dalszym snuciu planów starałam się nie zniechęcać uwidaczniającym się na twarzy przyjaciółki najpierw niedowierzaniem, a później stopniowym, wzrastającym lękiem.

– No nie martw się – dodałam po skompletowaniu całej reszty pozostałych, niezbędnych szczegółów nie będąc w stanie dłużej ignorować zmieszania i obawy w pulsujących w błękitnych oczach przyjaciółki. – Wszystko ustalimy, to wypali jeśli będziemy współpracować.

– A co ze szczekaniem? – odezwała się wreszcie milcząca dotąd Laura. – Jak wytłumaczę rodzicom te odgłosy?

– Och, o tym nie pomyślałam – przyznałam szczerze strapiona. Straciłam wiarę jednak tylko na moment, bowiem zaraz wpadł mi do głowy nowy pomysł. – Kupimy mu kaganiec. Wiem, wiem, nie powinno tak być, ale skoro to jedyna opcja żeby uratować go przed schroniskiem to chyba będzie musiał się poświęcić.

– Moi rodzice w życiu na to nie pójda.

– Nie powiemy im, przecież po to cały ten plan.

– Zabiorą mi komputer i telefon i... och! – Laura złapała się za głowę. – Uziemią na zawsze!

– Nie uziemią. A nawet jeśli, to przecież robimy coś dobrego.

– A Kevin? Przecież Kevin ćwiczy w piwnicy!

– No tak, ale jak go przekupimy to może zgodzi się dochować tajemnicy. Sama powiedziałaś, że to półgłówek.

Nagle Laura niespodziewanie wybuchła.

– Jak śmiesz obrażać mojego brata! – uniosła się zrywając z dywanu na równe nogi. Złość wychodziła jej uszami, wargi wykrzywił grymas.

Zdezorientowana rozłożyłam bezradnie ręce.

– To ty ciągle go tak nazywasz.

– Tego za wiele! Nie idę z tobą na żadne układy, Ado Smith! Zapomnij o tym!

– Co w ciebie wstąpiło? – wypaliłam powoli poddając się gniewnej atmosferze i również wstałam. – Przed chwilą mówiłaś, że to dobrze że go zabrałam. Przecież nie mogę go tak zostawić na pastwę losu!

– Przesadziłaś obrażając Kevina!

– Czepiasz się słowa, którego sama używasz!

Przekrzykiwałyśmy się wzajemnie dobrą minutę. W zamieszaniu zatraciłam sens podejmowanych kroków, zapomniałam o tym po co właściwie odwiedziłam Laurę, a ona wściekle przekonywała niebiosa o moim postradaniu zmysłów, o tym że nie będzie więcej mnie słuchać i że rodzice odbiorą jej wszystko, jeśli przystanie na te wybryki.

W rozgardiaszu sprzeczki szczenię porzuciło zabawę i podbiegło do Laury podskakując ku niej z głośnym ujadaniem. Widząc to Laura odskoczyła od psa, lecz kiedy ten podążył w ślad za nią obnażając wciąż rosnące zęby dziewczyna z piskiem wskoczyła na łóżko.

– Zabierz tego kundla! – zawołała.

– Żebyś wiedziała, że zabiorę – odpowiedziałam pogardliwym tonem. Pochyliłam się i wzięłam dalej walecznie ujadającego psiaka na ręce. Kiedy dotyk moich dłoni zdołał go uspokoić poczułam się jak wybitny treser dzikich zwierząt zdolny obłaskawić każdą bestię. Byłam też dumna z dzielnej postawy szczenięcia. Więź jaką połączył nas ten moment zadziałała niezwykle pokrzepiająco.

Laura popatrywała to na psa, to na mnie ze swego bezpiecznego miejsca, milcząca i zdenerwowana. Zrobiło mi się jej żal.

– Jak sobie chcesz – rzuciłam obojętnie. – Idę stąd. Mam psa do uratowania.

Ciężko opadłam na krawężnik i wypuściłam psiaka z drżących ze zmęczenia rąk. Kładziony na chodniku popatrzył na mnie wymownie wielkimi, psimi ślepiami. Odpowiedziało mu kolejne westchnienie.

– Wybacz, stary – powiedziałam wplatając w słowa smętny uśmiech. – Nie mam już siły cię dźwigać.

Zwierzę, znów zmorzone głodem, szczeknęło niewyraźnie i położyło się na mojej stopie. Zaśmiałam się krótko i poklepałam je po smukłej główce, po czym wsparta łokciami na kolanach zanurzyłam się w odmętach beznadziei.

Przechodnie mijali nas, niektórzy obojętnie, inni przystając na moment z rozczulonymi uśmiechami niespełnionych posiadaczy zwierzęcia. Dwie osoby zatrzymały się na dłużej. Wśród nich znalazła się młoda, elegancko ubrana kobieta z wzorzystym zielonym szalem ciasno owiniętym wokół szyi niczym boa dusiciel. Pierwszy zaczepił ją szczeniak. Złowił jej uwagę posyłając w jej stronę jeden uroczo szczęśliwy psi uśmiech. Połknąwszy przynętę zachwycona kobieta kucnęła balansując w niebezpiecznej pozycji na wysokich szpilkach i wyciągnęła niepewnie dłoń.

– Mogę? – zapytała pogodnie gotowa w każdej chwili cofnąć rękę pod wpływem mojej odmowy.

– Jasne – odpowiedziałam markotnie.

Palce kobiety zanurzyły się w sierści szczenięcia, którego uszczęśliwiony uwagą ogonek zaczął wachlować w tę i we w tę.

– Zawsze uwielbiałam psy – wyznała nieznajoma pieśczośliwie tarosząc uszy zwierzęcia. Im więcej mówiła, tym uważniej słuchałam powoli opuszczając lochy obojętności. – Kiedyś, kiedy byłam małą dziewczynką, babcia zabierała mnie do siebie na wieś. Miała dwa duże owczarki podhalańskie, cudowne zwierzęta. Bawiliśmy się razem do samego wieczora, mama musiała zapędzać mnie do domu jak zwierzę do zagrody – wytworna pani zachichotała. – Ależ to było dawno. A ty? – zwróciła się czule do psa. – A ty jesteś bardzo słodki, wiesz?

Piesek, najwyraźniej słuchając z podobną mojej uwagą, szczechnął wesoło. Roześmiana kobieta poklepała go po głowie.

– Dobry psiak.

– Przepraszam – odważyłam się nagle widząc, że kobieta powoli wstaje z niewygodnej pozycji. Zagadnięta wstrzymała ruch. Spojrzałyśmy sobie prosto w oczy. – A czy ma pani może psa?

– Nie – odpowiedziała spokojnie i wstała.

– Bo widzi pani – drażyłam, również wstając. Tyłek aż ścierpł mi od twardego i kanciastego siedziska. – Szukam dla tego pieska domu.

– Doprawdy? – rzuciła nieznajoma, a w jej głosie wyczułam wyraźną rezerwę. Zrobiłam wszystko co w mej mocy, by ta nieprzyjazna nuta nie wyprowadziła mnie z równowagi.

– Jest samotny, ktoś porzucił go na śmietniku, a ja naprawdę, naprawdę nie mogę go przygarnąć. Pomyślałam więc, że może, skoro tak lubi pani psy, może...

– Przykro mi – odezwała się kobieta wykorzystując moją niemożność skonstruowania sensownego zdania. Niezwykle trudnym zadaniem okazała się ocena, czy w jej głosie pobrzmiwało prawdziwe, czy wymuszone współczucie. – Przykro mi – powtórzyła.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Nie rozumiem, przecież...

– Przepraszam, spieszę się – dodała, na zakończenie rozmowy posyłając mi przepraszający uśmiech i odmaszerowała w swoją stronę. Nawet nie odprowadzałam jej wzrokiem.

Jej odmowa wzburzyła we mnie o wiele gorliwsze emocje niż paniczna reakcja Laury, momentalnie cała aż zawrzałam od środka. Gdyby ktoś nagle zmienił mnie w czajnik (a w tamtej chwili gorąco pragnęłam zamienić się w podobny obiekt by należycie wyrazić emocje), z pewnością piałabym na cały gwizdek.

Wszystko było nie tak. Do lekcji pianina zostały ledwo dwie godziny, nawet nie łudziłam się już, że zdążę wrócić do domu i wskoczyć w świeże, nieoblepione sierścią ubrania. Nie miałam ani rozwiązania problemu, ani powodu by wracać do siebie. Studnię pomysłów, zdawałoby się bezdenną, osuszyły gniew i rozczarowanie. Na domiar złego nikt nie wpuszczał nas do spożywczego, w którym obecność zwierzęcia nie była tolerowana, a psiak ewidentnie potrzebował wrzucić coś na żąb.

Ukryłam twarz w dłoniach i opadłam wściekle z powrotem na krawężnik powarkując pod nosem jak rozjuszony drapieżnik. Rozpacz chwyciła mnie za kostki i wciągała pod ziemię. Znajdowały się w niej także diabły nienawiści i odrazy do tych, którzy, choć mogli, nie zechcieli nam pomóc. Piesek, być może swoim małym, psim rozumkiem wyczuwający powagę sytuacji ale i mój zagniewany stan, ułożył się u mych stóp i zawzięcie lizał odsłoniętą kostkę.

W takim stanie zastała nas Daryl.

– Cześć Ada – zagadnęła. W codzienności jej głosu zdołałam odnaleźć coś pozwoliło mi uchylić kurtynę rozpacz i zajrzeć na powrót do świata żywych. Uniosłam czoło napotyając jej zwyczajną, nieco zaskoczona, twarz. Dziewczyna uważnie lustrowała moją minę, podobnie jak ja jej. – Co robisz?

Rozłożyłam ręce jednocześnie wzruszając ramionami. Z tego dziwnego zestawu gestów niewiele dało się wywnioskować miałam jednak wrażenie, że powiedział on Daryl więcej, niż byłam w stanie sobie zaznaczyć.

Dziewczyna skinęła głową i zręcznie zmieniła temat.

– To twój pies? Bardzo ładny. Tylko jakiś taki chudy. Wszystko z nim dobrze?

Zacisnęłam wargi, wytrzeszczyłam oczy i trwając w milczeniu znów wzruszyłam ramionami usiłując kolejnym nieudolnym gestem przekazać dziewczynie coś, czego żadne słowa świata nie były w stanie zastąpić w odpowiednią treść. O dziwo pojęła przekaz.

– Chyba dużo dziś przeszłaś. Może pójdziemy do mnie? Zdaje się, że mama robi dziś kaczkę, starczy i dla ciebie, i dla niego. Bo to on, prawda?

Skinęłam głową, pozostając pod siłami tajemniczego zaklęcia uniemożliwiającego mi swobodną komunikację.

– A jak się wabi?

Pytanie to najpierw ze wzmożoną siłą spotęgowało urok, po czym płynnie i w niewiadomych okolicznościach, wyswobodziło mnie z jego wszędobylskich objęć. Przecież wszystko, co na tym świecie istnieje, powinno jakoś się nazywać.

– Mine – odpowiedziałam. – Nazywa się Mine.

W nagłe pojawienie się Daryl i jej serdeczność trudniej było mi uwierzyć niż we wszystkie wydarzenia ostatniego dnia razem wzięte. Daryl Brown, osoba stroniąca od ludzi, otoczona murem zbudowanym z zawrotnej ilości książek jakie zawsze czytała na przerwach w szkole, sama bardzo rzadko wykazywała jakąkolwiek towarzyską inicjatywę. Nie byłam pewna czy ktoś kogo znałam w ogóle przekroczył kiedykolwiek próg jej domu. Z powodu tego zamknięcia o Daryl i jej rodzinie krążyło w szkole kilka legend,

których, przez wzgląd na okazaną dobroduszość, nie śmiałabym przytoczyć.

Zaprowadziła nas do niewielkiej kamiennicy. Po drodze rozmawialiśmy niewiele, głównie o zwierzętach, lecz sama jej obecność podnosiła mnie na duchu. Mine trochę rozrabiał, lecz szybko wymęczyły go rozmaite psoty i z braku energii zasnął w moich ramionach.

Mieszkanie Daryl robiło wrażenie dość ciasnego dla osoby mieszkającej w wolnostojącym budynku, lecz było utrzymane w porządku i umeblowane, choć nieco skromnie, ręką gustowną i lubiącą ciepło domowego zacisza. Ku memu najszczerzszemu zdziwieniu już z progu dobiegły mych uszu pogodne rozmowy dobiegające z głębi mieszkania. Automatycznie spróbowałam się wycofać, lecz Daryl położyła mi uspokajająco rękę na ramieniu pokazując, że nie mam się tu czego obawiać. Po raz kolejny udowodniła swym postępowaniem, że moje zachowania nie wymagają zbędnych tłumaczeń by zostały prawidłowo rozszyfrowane. Nic nie wprawiało mnie w osłupienie bardziej, niż jej spostrzegawczość.

Rodzina Daryl okazała się idealną odwrotnością tego, co głosiły szkolne legendy. Państwo Brown, siwiejący i wyglądający z pozoru nieco surowo, lecz bardzo przyjaźnie nastawieni ludzie, okazali nam równie ciepłą serdeczność co ich córka, zresztą podobnie jak młodsze rodzeństwo Daryl – brat Greg i siostra Casey.

Rozsiadliśmy się w niewielkim, acz przytulnym salonie, ja, Daryl i jej rodzeństwo na podłodze, zawsze w pogotowiu by przyjąć zaczepki Mine'a, który dokarmiony odzyskał chęci do zabawy, a państwo Brown na tapicerowanej kanapie. Planowałam w odpowiedniej chwili wyrwać Daryl do jej pokoju i porozmawiać na osobności, lecz obserwując otwartość członków rodziny i ich rozmowy szybko zrozumiałam, że ta rodzina nie funkcjonuje w taki sposób. Zachęcona więc poczęstunkiem (pani Brown podała świeże owsiane ciasteczka i cytrynową herbatę) przełamałam wewnętrzny opór i postanowiłam zwierzyć się rodzinie opowiadając im całą historię Mine'a poczynając od mojego wyjścia ze szkoły, aż do progu ich domu, naturalnie nie oszczędzając szczegółów.

Wysłuchali jej do końca, Greg i Casey przerywając czasem piskami radości wywołanymi przez brykanie Mine'a, którym jako najmłodszy uczestnicy konferencji z oczywistych powodów byli zainteresowani najbardziej. Ja tymczasem dopiero po doprowadzeniu opowieści do końca zauważyłam, jak miny państwa Brown spoważniały od czasu gdy Daryl przedstawiała mnie na progu salonu.

Nie wiedziałam, jak interpretować ten wzrost powagi, więc zaniepokojona kaszlnęłam i odezwałam się, nauczona doświadczeniem:

– Właściwie nie wiem, dlaczego to wszystko powiedziałam – i zaczęłam mamrotać nerwowo pod nosem.

– Dobrze się stało, dziecko – powiedziała pani Brown, podsuwając talerzyk z ciasteczkami w moją stronę. – Proszę, częstuj się.

– Dziękuję – szepnęłam i z braku zajęcia dla swych zdenerwowanych dłoni porwałam w nie owsiany przysmak i wepchnęłam go do ust jako wspaniałe usprawiedliwienie dla swej ciszy.

Pan Brown złączył końce palców, pochylił się i westchnął. Od jakiegoś czasu nieustannie wymieniał spojrzenia to z żoną, to z najstarszą córką.

– Cóż, Ado. Obawiam się, że my niestety również nie możemy przygarnąć Mine’a.

Ciąg wypowiedzi pana Browna przerwał zgodny jęk Grega i Casey, którzy od kilku chwil uważnie śledzili przebieg dyskusji, zapewne licząc na zupełnie inne stanowisko ojca.

Pan Brown uciszył ich ręką i mówił dalej.

– Mine ma duże, silne łapy, wyrośnie na wielkie psisko, a my nie mamy tutaj tyle miejsca. Nie byłoby mu z nami dobrze.

– Rozumiem, ja... – wyrwałam, lecz z braku pomysłu na dokończenie zdania natychmiast zamilkłam.

– Myślę, że możemy go jednak ugościć.

– Co masz na myśli? – zapytała siedząca tuż obok mnie Daryl.

Pan Brown klasnął w ręce i wyprostował się. Na jego twarzy gościł przekonujący, kontrolowany uśmiech.

– Proponuję, żeby zamieszkał z nami do czasu, aż dziewczynki znajdą mu nową rodzinę. Co wy na to, dzieciaki?

Pan Brown nie zdążył skończyć, a salon już wypełniły gromkie wybuchy radości. Greg i Casey automatycznie rzucili się ojcu na szyję jak para identycznie zaprogramowanych robotów, pani Brown roześmiała się, a Daryl skinęła z uśmiechem głową. Moje serce zalała niewysłowiona fala wdzięczności. Gdyby nie to, że napiłam się trzema kubkami herbaty pod rząd pomyślałam, że chlupot jaki poczułam wewnątrz był właśnie tą falą szalejącą wewnątrz mojego ciała.

– Pomożesz Adzie, prawda Daryl?

– Tak – odpowiedziała bez wahania i zajrzała mi prosto w oczy. – To kiedy zaczynamy?

– Zaraz! – zawołałam z entuzjazmem odpowiadając na jej uśmiech tym samym.

Opuściłam mieszkanie państwa Brown z nową energią i odmienionym spojrzeniem na świat. Moja dusza stała się lżejsza, kroki swobodniejsze. Wiedziałam, że Mine jest w dobrych rękach i ufałam, że Daryl nie weźmie ze mnie przykładu zapominając go nakarmić, na pierwszy rzut oka wydawała się mniej roztrzępana. Wymieniłyśmy się numerami telefonów i obiecałyśmy pisać do siebie na bieżąco, aby nic nie zakłócało przepływu informacji odnośnie poszukiwań nowego domu dla Mine’a. Z takim zapleczem wsparcia nie obawiałam się już o przyszłość szczenięcia.

Co innego o własną.

Lęk zdołał rozproszyć tymczasowo telefon, który odezwał się gdy pokonywałam już ostatnią prostą. Do lekcji gry na pianinie pozostało równo dziesięć minut (szczęśliwym zbiegiem okoliczności kamienica Brownów mieściła się niedaleko domu nauczycielki), więc odebrałam. Po drugiej stronie łącza usłyszałam roztrzęsiony, pełen pokory głos Laury.

– Hej, Ada – zaczęła, i nim odpowiedziałam wartki potok słów wypłynął z jej ust. – Dzwonię, żeby cię przeprosić. Strasznie mi przykro, zachowałam się jak idiotka. Totalnie nie rozumiem, co mi odbiło.

W tamtej chwili byłam za młoda by podpowiedzieć Laurze w rozwiązaniu zagadki, jednak jakaś niezbadana część mojej natury instynktownie przyjęła tę wiadomość bez konieczności dalszych wyjaśnień. Nie zamierzałam długo się gniewać.

– W porządku, Laura.

– A więc zgoda? – zapytała z tak głośną nieśmiałością, że aż zaśmiałam się rozbawiona pod nosem dodatkowo wspomagana pozytywną energią wyniesioną z mieszkania Brownów.

– Zgoda – potwierdziłam. – Ale następnym razem jeśli masz tak się burzyć o nazywanie swojego brata półgłówkiem po prostu sama go nie obgaduj.

Laura zachichotała speszona.

– No tak, masz rację. Wiem. Słuchaj Ada, pomogę ci. Zrobmy to. Przekupimy półgłówka, kupimy mu kilka ulubionych magazynów, może na jedną noc się uda.

– Nie ma potrzeby – odpowiedziałam. – Stał się cud, ale opowiem ci o tym jutro w szkole. Teraz muszę pędzić na pianino.

– Serio? – po głosie Laury poznałam, że doznała niewysłowionej ulgi w napięciu, ale i szczerze się ucieszyła. – To świetnie! A może napiszesz do mnie później?

– Czemu nie. To co, do wieczora?

Przyjaciółka potwierdziła propozycję, po czym pożegnałyśmy się napędce i, nagłona czasem, pobiegłam prosto do domu nauczycielki.

Lekcja odbyła się tak, jak zwykle. Nauczycielka, poza jednym nieco zdezorientowanym spojrzeniem, nie zwróciła uwagi na mój strój i prowadziła zajęcia normalnie. Gra wciągnęła mnie bardziej niż zazwyczaj, zapewne za sprawą dobrego humoru, a godzina upłynęła błyskawicznie. Nigdy nie zapomniałam o tym, by wyciszyć telefon, tak podobnie tym razem, przełączony na wibracje, spoczywał na dnie kurtki którą odwiesiłam na wieszak. Nieświadoma dziesięciu nieodebranych połączeń od mamy pozostawałam w

stanie błogiej niewiedzy i z przyjemnością grałam ostatnio ćwiczone utwory.

Gdy wreszcie wzięłam urządzenie do ręki i ujrzałam zawrotną liczbę na ekranie w mojej głowie rozświe-
tliła się wielka czerwona lampka, a ostrzegawcze syreny zawyły żałośnie. Liczba „10” krzyczała swoje, a
ja nie potrzebowałam przy jedynce jej bliźniaczki by wiedzieć, że sprawa jest poważna.

Nie mając odwagi by oddzwonić ruszyłam w stronę domu modląc się, by mama dała mi spokój chociaż
na tych piętnaście minut nim zdążę dotrzeć do celu. Tak się stało a ja, z coraz szybciej bijącym sercem i
nogami wiotkimi jak łydki ciętych kwiatów, biegnąc mamrotałam bez przerwy pod nosem.

Pierwszy raz w życiu widok zapalonego w oknie światła przeraził mnie nie na żarty. Już z za zakrętu do-
strzegłam, że to w mojej sypialni jarzy się jaskrawa żarówka. Wspomnienie totalnego bajzlu pozostawio-
nego w garderobie którym nie zdążyłam się zająć spadło mi na głowę jak kowadło na postacię w
kreskówkach. Wiedziałam, że już po mnie.

Weszłam do domu ostrożnie, niemal na palcach, jak złodziej odwiedzający czyjąś posesję nocą. Cichutko
zamknęłam za sobą drzwi i stanęłam w przedpokoju bez ruchu, nasłuchując. Tliła się we mnie jeszcze na-
dzieja, że to Lena odkryła moją kryjówkę, że jakoś ją ubłagam do zachowania milczenia, a mamie tylko
przypomniało się coś istotnego.

Nie doświadczywszy ataku z żadnej ze stron ruszyłam nieśmiało na górę i właśnie wspinałam się po
schodach, gdy u ich szczytu stanęła mama. Miała skrzyżowane gniewnie ręce, wysokie szpilki na nogach
(wyjątkowo trefny omen, że chodziła w nich po domu) i bardzo, bardzo zagniewaną minę.

– Co to ma znaczyć? – zapytała surowo wyciągając przed siebie jedną z moich kolorowych bluzek. Do-
piero teraz zauważyłam, że przez cały czas ścisnęła ją zwiniętą w pięści. – Co. To. Ma. Być. Ado?

– Ja wszystko...

– A ten zapach?! – zawołała mama, której ze złości aż wyszły na wierzch żyły na szyi. – Skąd, do jasnej
cholery, ten smród?!

Milczałam. Stałam na schodach wbijając spojrzenie w podłogę.

Mama potrzebowała chwili by jako tako się uspokoić. Rozluźniła splot rąk lecz widziałam kątem oka, jak
cały czas ścisnęła w pięści moją bluzkę.

– Wyobraź sobie, że otrzymałam dziś w pracy bardzo dziwny telefon. Zadzwońska Lena, była przerażona.
Sądziła, że w twoim pokoju ukrywa się jakiś bezdomny.

– C-co? – wydusiłam na moment unosząc wzrok.

– Tak! – łapiąc kontakt wzrokowy mama automatycznie znów zapłonęła gniewem. Szybko wróciłam do
studiowania wykładziny na schodach. – Dziewczyna bała się wejść do środka, bo myślała, że w twojej sy-
pialni czai się bezdomny człowiek, rozumiesz? Mało tego, musiała dostać jakichś przywidzeń, bo

mówiła, że słyszy jak pod jego ciężarem trzeszczy łożko. No, chyba, że masz mi coś do powiedzenia? Teraz, natychmiast! Co to ma, do jasnej cholery, znaczyć? – mama potrząsnęła gniewnie tęczową bluzką. – A to?! Tyle czasu poświęciłam na rozmowy z tobą, tyle czasu tłumaczyłam, prosiłam: „Ado, ciężko pracowaliśmy na to, co mamy, na wszystko co mamy, szanuj to”. Ale nie, nie, nie mogłaś... Och! Harold! Zobacz, zobacz, Haroldzie, co nasza córka... Och! Po prostu zobacz!

Ledwo drzwi zamknęły się za tatą, a w jego stronę już poleciał kolorowy pocisk. Uderzył go prosto w twarz.

– No zobacz! – ponagliła mama. – Zobacz, co nasze dziecko robi z *naszymi* pieniędzmi.

Tata przyglądał się dowodowi niewiele z niego rozumiejąc. Informacje docierały do niego stopniowo. Wreszcie, przekonany żywiołowym gniewem mamy, dołączył do niej, zamykając mnie na schodach w prawdziwej pułapce.

– Czekamy na wyjaśnienia – zabrał grzmiąco głos. – Co to ma znaczyć?

Każdą cząstką ciała czułam, że milczeniem pogarszam sytuację. Przyparta do muru i atakowana równocześnie z obu stron, musiałam się odezwać.

Przełknęłam głośno ślinę i podniosłam powoli spojrzenie. Stałam bokiem zarówno do jednego, jak i drugiego rodzica i starałam się skupiać wzrok na drewnianej balustradzie schodów.

– Wczoraj znalazłam na śmietniku psa – zaczęłam, usilnie kontrolując wzburzony oddech. – Był głodny, zmarznięty, brudny i...

Z ust mamy wydobył się jęk obrzydzenia.

– Przeprowadziłaś tego kundla tutaj?!

– Tak, mam, on był bardzo samotny. Szukałam dla niego miejsca, nikt go nie chciał, on... – zapauzowałam czując, jak moje oczy wypełnia strumień łez wzruszenia. – On ma tylko mnie. Nie poradzi sobie sam.

– Przesadzasz, dzieciaku – zagrzmiął surowo tata swym szorstkim, nieustępliwym głosem. – Są w mieście schroniska, a dobrze wiesz, że nigdy byśmy się nie zgodzili na zatrzymanie go w tym domu. Postąpiłaś wbrew zasadom.

– Wystraszyła Lenę! – podpowiedziała ze szczytu schodów mama.

– Wystraszyłaś Lenę, i zobacz co zrobiłaś z matką, wpadła w jakiś obłąd. Było warto?

Pod ostrzałem oskarżeń poczułam się osamotniona i bezbronna. Jednocześnie wezbrał we mnie dziwny, niespodziewany gniew, któremu pod wpływem impulsu zapragnęłam ulec. Emocje skumulowały się we mnie tłumnie, a potem, pod wpływem zawieszzonego w powietrzu pytania, wybuchnęły nagle niczym

bomba atomowa sprowadzająca na ludzkie głowy nic więcej, prócz zguby.

– Tak! – krzyknęłam ogarnięta pasją. – Było warto!

– Ada, jak ty się zachowujesz?!

– Nic nie rozumiecie! – wołałam dalej teraz odważnie skacząc spojrzeniem to na mamę, to na tatę. Oczyma wyobraźni widziałam samą siebie – stojącą w połowie wejścia na piętro, zajęętą furją, z wyszczerzonymi gniewnie zębiskami. – To MOJA decyzja. Moja! Ja go wzięłam, ja nie zostawiłam go tam samego, ja go znalazłam! Potrzebował mnie! Możecie sobie go nienawidzić, i mówić że cuchnie, nie obchodzi mnie to. JA tak chciałam. Mine jest MÓJ.

Trzęsącymi się dłońmi celowałam palcem naprzemiennie w oboje rodziców. Mojej uwadze umknął nietypowy i niepasujący do rodzinnej awantury fakt ich milczenia. Spod moich powiek, nie wiedzieć kiedy, trysnęły łzy.

– Dbacie tylko o ten głupi dom! – krzyczałam dalej, powoli tracąc podbierany dodatkowo przez szloch dech w piersi. – Sprzątnij to, sprzątnij tamto... A może ja tak nie chcę? Może wcale nie chcę tych idiotycznych sukienek, może wolę jeansy bo są wygodne?

Milczenie rodziców wreszcie przebiło się do mych uszu przez grube warstwy wzburzenia, płaczu i cielesnych turbulencji, momentalnie zbijając mnie z pantałyku. Nie zdecydowałam się skontrolować ich min, i choć niezmiernie mnie korciło, wbiłam wzrok w buty.

We troje trwaliśmy w gęstej ciszy, której nie sposób przerwać.

Paradoksalnie czułam w środku, gdzieś głęboko na dnie serca, jak ciężka kotwica przygniatająca mnie do ziemi powoli unosi się z dna uczuciowego oceanu. Z powstałego wgłębienia, wciąż jeszcze obolałego, wypłynął powoli cień ulgi.

– Haroldzie – chrząknęła po dobrych kilku długich chwilach mama, której dziwnie zmieniony głos ścisnął mi gardło. – Haroldzie, kolacja będzie trochę później.

Mine nie został u państwa Brown nawet tygodnia, nim pragnąca adopcji rodzina zgłosiła się do nich po odbiór zwierzęcia. Byłam u nich tego dnia. U progu zjawili się budzący zaufanie, uśmiechnięci ludzie, małżeństwo z córką, dziewczynką o ślicznych lokach koloru piasku, nieco młodszą ode mnie. Przytuliła Mine'a, który o ile dobrze wiem nazywa się teraz Nicky, i od razu zobaczyłam prawdziwą radość w jego psich, rozumnych ślepiach.

Mine'a nie ma ze mną już od dawna. Choć rozłąka przysporzyła mi prawdziwego smutku, Mine pozostał w moim sercu jako wierny przyjaciel i nieco nadpobudliwy obrońca. Wiem, że dobrze dzieje mu się w nowym domu, adopcyjna rodzina wysłała mi mailowo kilka zdjęć ukazujących go w różnych pozach i

miejscach, lecz zawsze z tym samym, radosnym, psim uśmiechem.

Lena dalej pracuje w naszym domu spędzając długie godziny na polerowaniu podłóg. Unika mnie, a ja unikam i jej, i jej przewrażliwionych nozdrzy. Nie tęsknimy za sobą.

Resztę pogryzionych ubrań z garderoby mama bezceremonialnie pozbyła się pod moją nieobecność. Tyle je widziałam.

Dwa miesiące po burzliwych wydarzeniach tamtych dni przyniosłam do domu deskorolkę, kupioną za własne kieszonkowe.

Od tamtej chwili spadłam z niej tysiąc razy.

Wiem, że spadnę tysiąc więcej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Cofftee, dodano 02.04.2019 11:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.